

O V ZJEZDZIE: FAKTY, WSPOMNIENIA, REFLEKSJE



foto: Marian Szmukier

Do lokalnej i szkolnej historii przeszedł kolejny Zjazd Absolwentów koziegłowskiego liceum odbywający się 4 czerwca 2016 roku. To już piąte takie spotkanie od 1996 roku. W ciągu tych 20. lat zaszły olbrzymie zmiany w infrastrukturze Zespołu Szkół. Najważniejsze osiągnięcie to rozbudowa budynku szkolnego i oddanie do użytku imponującej hali sportowej, w której spotykamy się w doskonałych warunkach już bez obaw o zmienną aurę.

Z mieszanymi uczuciami przystąpiłem do pisania poniższego tekstu, z dwóch powodów. Pierwszy, bardzo widoczny w kościele i hali sportowej: tylko 134. absolwentów przybyło na spotkanie. Dla porównania 5 lat temu było nas 400-tu, 20 lat temu aż 685-ciu. Drugi powód jest równie zastanawiający. Pierwszy raz w historii zjazdów jubileuszowej Eucharystii nie celebrowali księża absolwenci... O przyczynach tego w słowie wstępnym do liturgii wspomni główny celebrans ksiądz proboszcz dr Robert Nemś. W porozumieniu z dyrektorem Zespołu Szkół Joanną Lulą (z domu Sapota, absolwentka z 1983 roku) i aprobatą księdza proboszcza przygotowałem – po raz kolejny – program uroczystej Mszy świętej ze wszystkimi tekstami, pieśniami i specjalnie dobranymi treściami Psalmu Responsoryjnego. Nieskromnie dodam, że nie miałem z tym żadnego problemu, bowiem od lat biorę udział w organizowaniu i realizacji przeróżnych spotkań i zjazdów nie tylko w naszej miejscowości, ale także np. w Krakowie czy Gliwicach. W „Dopowiedzeniach” na końcu tego tekstu uwiarygodnię tę informację

notką biura prasowego Uniwersytetu Jagiellońskiego i fotografią ze słynnej bazyliki na Skałce w Krakowie, gdzie na chórze wykonuję pieśni liturgiczne. Czynię to tylko z kronikarskiego obowiązku odpowiadając na częste na ten temat zadawane mi pytania i wątpliwości.

Oprawę muzyczną, oczywiście organową, ustaliłem ze świeżo zatrudnionym młodym organistą, jeszcze studentem, Szymonem Kuterem. Olbrzymią niespodziankę sprawiła jego siostra Agata, też studentka, która bez zapowiedzi przybyła na eucharystię i na skrzypcach zdecydowanie ją upiększyła. Szczególnie było to słyszalne przy śpiewanych przeze mnie pieśniach: „Ave Maryja” Franciszka Schuberta, „Agnus Dei”, „Cały świat niech śpiewa tę pieśń” czy „My chcemy Boga”. Dlatego też w zgodnej opinii uczestników liturgii była to najpiękniejsza oprawa muzyczna w historii wszystkich zjazdów. Oprawę chóralno – muzyczną przygotowała nauczycielka muzyki i opiekunka chóru szkolnego Anna Łuszczuk-Matyja, absolwentka z 2001 roku. Usytuowanie chóru tuż przed prezbiterium wyraźnie zwiększyło efektywność wykonywanych pieśni i jakby je „uplastyczyło”. Czytania tekstów mszalnych i sekwencje z tzw. Modlitwy Wiernych bardzo sugestywnie przedstawił Andrzej Wolański, absolwent z 1977 roku i Zdzisława Jagielska-Szczygieł, absolwentka z 1972 roku oraz Barbara Pawlikowska-Kuźba, absolwentka z 1989 roku. Warto wspomnieć, że Andrzej Wolański prezentował teksty liturgiczne także na poprzednim zjeździe. Dla faktograficznego wymogu koniecznym jest skrótowne przedstawienie przebiegu jubileuszowej eucharystii. Jak już wspomniałem głównym celebrazem był ksiądz proboszcz, a współcelebrazem ksiądz wikary.

Liturgię rozpoczęła improwizacja organowa na temat „Gaudeamus igitur”, wyrażająca radość spotkania absolwentów, nie tylko akademickich. Na Wejście wykonałem adekwatne do uroczystości pieśni: „Ludu kapłański” i „Chrystus nadzieja nasza”. W słowie wstępnym ksiądz proboszcz powiedział:

„W kwietniu ubiegłego roku na Mszy św. w intencji absolwentów kozięgłowskich szkół, którzy osiągnęli 70-ty rok życia (trzeba przyznać – dodał - przyp. mój - że to bardzo oryginalny powód spotkania, jak powiedział jego organizator: osiągnęli pierwszy próg biblijny) powiedziałem do zebranych, że czas nieubłagane podąża do ostateczności... Na stronach Biblii spotykamy kilka wyznaczników ludzkiego życia: najpierw jest 70 lat, ale też 80 i 90. Prorok Kohelet mówi, zgodnie z absolutną prawdą, że wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy i niestety bardzo pesymistycznie dodaje, że wszystko to marność, marność nad marnościami...



foto: Marian Szmukier

Od prawej: Ksiądz Proboszcz, Ksiądz Wikary, Andrzej Wolański



foto: Marian Szmukier

Chór szkolny

I jak rok temu, tak i dzisiaj namawiam każdego z was – szanownych i czcigodnych absolwentów – do refleksji nad przemijaniem, bo czym są nawet te 100 lat w kontekście wieczności...

Ale wróćmy do rzeczywistości, do przyczyny tego zjazdu, czyli rocznicy 70-lecia powstania LO w Koziegłowach, pierwszego po wojnie w powiecie myszkowskim. Wielu – niestety - nie dożyło dzisiejszego wydarzenia, np. księża: Józef Dawczyński, absolwent z 1951 r. i Marian Lubas, absolwent 1956 roku, którzy zmarli w ubiegłym roku. 5 lat temu na zakończenie Mszy św. (jak wspominają świadkowie) zgodnie wyrazili życzenie zobaczenia się na jubileuszowym zjeździe, czyli dzisiaj, dodając nieodłączne: jak Bóg da! Jak Bóg da...

A teraz trochę liczb. Mury starego i nowego budynku Liceum opuściło 2349. absolwentów. Pracowało tu 14. dyrektorów i 200. nauczycieli oraz 30. oddanych pracowników administracji i obsługi. Żyją jeszcze dzięki Bogu najstarsi absolwenci szkoły z 1950 roku, panie Henryka Błońska-Zarzycka i Regina Ryńska. Z roku następnego żyją obecni tu Zygmunt Kucia oraz Henryk Lis i Józef Niedźwiecki, zaś z rocznika 1952 na 20-stu absolwentów żyje 10 osób, w tej liczbie ksiądz Włodzimierz Torbus, który niestety już drugi raz nie mógł tu przybyć z powodu choroby”.

Ksiądz proboszcz był też autorem bardzo wyrazistej i pouczającej homilii akcentującej niezwykle ważne, często decydujące o wartości i jakości życia człowieka wierzącego przymioty takie, jak: **wiara bez ale, pokora, bezinteresowność i przemijanie** (wspomniane już wcześniej w słowie wstępnym). Wreszcie w słowie końcowym przed błogosławieństwem powiedział m.in.:

„Wyśpiewane dziś we fragmencie drugim (Ps. 118) Psalmu Responsoryjnego słowa: „szczęśliwi, którzy zachowują upomnienie Pana i całym sercem Go szukają” to realizacja podkreślanej dziś w homilii **wiary bez ale!** Szczególnie też zabrzmiał fragment piąty (Ps. 71): „Oto jak dobrze i miło gdy bracia zebrani są razem, bo Pan udziela tu błogosławieństwa”. Ufamy, że słowo „bracia” odnosi się do Was, do absolwentów koziegłowskiego liceum. Niech tak się stanie! Na koniec jest jeszcze następująca prośba organizatorów. Wykonawca śpiewów liturgicznych i pieśni Jan Kałuziński, absolwent z 1962 roku, lektor tekstów liturgicznych i modlitw Andrzej Wolański z zespołem, opiekunka chóru szkolnego Anna Łuszczuk-Matyja oraz organista Szymon Kuter i jego siostra Agata proszą szanownych absolwentów i gości o uroczyste odśpiewanie błagalnej pieśni „My chcemy Boga” oraz wysłuchanie końcowej pieśni wykonanej przez chór szkolny i improwizacji organowej. Ja zaś ponawiam pragnienie: do zobaczenia – jak Bóg da – za 5 lat!”

Mszę św. zakończyło brawurowe wykonanie przez organistę wielkanocnej pieśni „Surrexit, Surrexit Dominus Jezus”. Warto dodać, że księży absolwentów – oprócz księdza Włodzimierza Torbusa – mamy niestety tylko dwóch: ks. Henryka Okularczyka i ks. Grzegorza Noszczyka. Nie dotarły do organizatorów informacje o przyczynach ich nieobecności.



foto: Marian Szmukier

Od prawej: Burmistrz i moja klasa z1962 roku

Następnie absolwenci i zaproszeni goście przeszli na czele z orkiestrą dętą ulicami miasta w uroczystym pochodzie do szkoły, gdzie w hali sportowej odbyła się część oficjalna. Po przywitaniu społeczności szkolnej przez dyrektora szkoły Joannę Lulę, młodzież szkolna przedstawiła różnorodny tematycznie bardzo interesujący program artystyczny. Jednak najważniejszym punktem było uhonorowanie przez burmistrza miasta i gminy Jacka Ślęczkę, absolwenta z 1981 roku, najstarszych przybyłych absolwentów i nauczycieli, a także zasłużonych dla organizacji nie tylko tego zjazdu. To pierwszy taki gest władarzy miasta w historii tych spotkań.

Listami gratulacyjnymi dla najstarszych absolwentów zostali uhonorowani: Henryka Błońska-Zarzycka, z najstarszego rocznika, Zygmunt Kucia z następnego roku oraz Janusz Chachulski i Janusz Torbus z 1955 roku.



foto: Marian Szmukier

Od lewej: Burmistrz miasta Kozięłowy Jacek Ślęczka, dyrektor Zespołu Szkół Joanna Lula, Jan Kałuziński

Listami Gratulacyjnymi dla najstarszych nauczycieli zostali uhonorowani: Zbigniew Garczyński, nauczyciel fizyki i astronomii oraz - niespodziewanie dla mnie - moja skromna osoba. Tu osobista dygresja... W latach 1968-1971 byłem w liceum nauczycielem języka angielskiego. To na prośbę ówczesnego dyrektora szkoły ś.p. Alfreda Pałuchy – wspaniałego człowieka i nauczyciela – dojeżdżałem autobusem z Gliwic. W tym samym czasie byłem nauczycielem w Technikum Samochodowym w Gliwicach, a propozycja nauczania w **moim liceum** była oczywistym zaszczytem. Uciążliwości komunikacyjne nie miały w tej sytuacji żadnego znaczenia. Z natychmiastowej analizy – nie tylko mojej – wynikało, że byłem na sali drugim najstarszym nauczycielem tej szkoły. W tym kontekście warto dodać, że w Rybniku w swoim rodzinnym mieście, żyje rzeczywiście najstarszy nauczyciel naszego liceum mgr Ksawery Sajewicz (81 lat), zaś w Świętochłowicach, też w swoim rodzinnym mieście żyje mgr Teresa Prandzioch (79 lat), o których napiszę w „dopowiedzeniach”. Nie mogli niestety przybyć na zjazd ze względu na zły stan zdrowia. Utrzymuję z nimi systematyczny telefoniczny kontakt.



foto: Marian Szmukier

Najstarsi nauczyciele; od lewej: Zbigniew Garczyński, Jan Kałuziński i Henryk Daniel

Z tyłu od prawej Maria Dziurawicz-Sowińska

Jeszcze dwie osoby zostały uhonorowane przez burmistrza, są to: Krzysztof Baliński, absolwent z roku 1968, za wykonanie i ufundowanie pamiątkowych medali z okazji wszystkich zjazdów absolwentów oraz Grażyna Polak, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Zespołu Szkół w Koziegłowach. W Liście Gratulacyjnym burmistrz podkreślił jej wyjątkowy wkład pracy w dzieło rozwoju szkoły i w organizowaniu zjazdów absolwentów.

Warto zaznaczyć, że uhonorowane osoby zostały obdarowane pamiątkowymi upominkami ufundowanymi przez Urząd Miasta i Gminy. A potem – przy obfitym poczęstunku – już tylko zabawa, rozmowy, wspomnienia, a także ukradkiem ocierane łzy (wyłącznie u pań) i żal, że czas tak szybko ucieka... I jeszcze jedno ... wszyscy obiecali, że za 5 lat będzie nas znacznie więcej! Zobaczymy...

Wspomniałem na wstępie, że zapisało się 134. absolwentów. Organizatorzy zaprosili 40. gości, w tym byłych i aktualnych nauczycieli nie będących absolwentami naszego liceum. Dla kronikarskiej formalności należy wymienić nazwiska osób z najstarszych roczników. I tak:

- 1950 – Henryka Błońska-Zarzycka
- 1951 – Zygmunt Kucia
- 1955 – Janusz Chachulski i Janusz Torbus
- 1957 – Stanisława Barczyk – Kaźmierczak, Zofia Duda-Merta, Witold Daniel
- 1962 – Maria Dziurawicz-Sowińska, Barbara Jadowska-Nowak, Barbara Piernikarz-Kulej, Henryk Daniel, Jan Kałuziński
- 1963 – Barbara Bednarczyk-Wójcik, Maria Będkowska-Bednarska
- 1964 – Janina Barakońska-Pyrdoł (jej mąż Jerzy Pyrdoł to mój kolega z roku na UJ), Marianna Barczyk-Fanar, Zofia i Władysław Cisło, Alicja Dyrka, Grażyna Kubalska
- 1965 – Zofia Madejska, Barbara Muc, Józef Bąk

- 1966 – 5 absolwentów
- 1967 – 5, 1968 – 4, 1969 – 4, 1971 – 7, 1972 – 8, 1973 – 9, 1974 – 1, 1975 – 3, 1976 – 4, 1977 – 2.

Reszta przybyłych to absolwenci z pozostałych roczników. Z jubileuszowego rocznika 2000 tylko dwie osoby. Od 2001 do roku bieżącego nikt nie przybył. Potwierdza się powszechna opinia, że młodych ludzi nie interesują jeszcze takie imprezy, nie mają ugruntowanych wspomnień, sentymentalnych odruchów czy satysfakcjonującego dorobku.

Wielkie dzięki dla najstarszych uczestników spotkania, na nich zawsze można liczyć.



foto: Marian Szmukier

Najstarsza absolwentka, Henryka Błońska-Zarzycka z córką Aleksandrą



foto: Marian Szmukier

Od lewej: Marianna Barczyk-Fanar, Zygmunt Kucia, Witold Daniel, Stanisława Barczyk-Kaźmierczak, Jan Kałuziński, Zofia Duda-Merta, Barbara Jadowska-Nowak, Henryk Daniel, Barbara Piernikarz-Kulej, Maria Będkowska-Bednarska, Barbara Bednarczyk-Wójcik

Ogromną pracę przy organizacji zjazdu wykonała cała społeczność szkolna: dyrekcja, nauczyciele (również emeryci), pracownicy administracji i obsługi, rodzice i oczywiście uczniowie. Niewłaściwym było kogokolwiek wyróżniać.

Wyrazy serdecznego podziękowania należą się księdzu proboszczowi za szczególną przychylność i służbie kościelnej. Przekonałem się o tym osobiście, przygotowując wspomnianą wyżej kościelną stronę imprezy.

Osobne podziękowania należą się Urzędowi Miasta i Gminy z Burmistrzem na czele za stworzenie przyjaznego klimatu i sponsoring. **Wszyscy zasłużyli na słowa najwyższego uznania i podziękowania.**



foto: Marian Szmukier

Burmistrz i dyrektor szkoły wręczają List Gratulacyjny najstarszej absolwentce liceum



foto: Marian Szmukier

Najstarszy obecny nauczyciel na zjeździe Zbigniew Garczyński gratuluje Listu Gratulacyjnego
Zygmuntowi Kuci.

Tyle na temat spraw zasadniczych zjazdu.

Tak zwane „Dopowiedzenia” traktuję jako szczególnie osobiste. Nie dla wszystkich będą interesujące. Stanowczo odradzam czytanie ich tym, u których mogą wywołać krańcowo odmienne emocje. Ale mają przede wszystkim wartość prawdziwej, bardzo już odległej historii szkolnej, którą trzeba było „ocalić od zapomnienia”. Od dawna namawiali mnie do tego moi rówieśnicy.

Wspomnienia, często bardzo bolesne, powracają. Olbrzymi dystans jaki dzieli mnie i moich rówieśników od tamtych czasów czynią je nieco złagodzonymi i bez cienia fałszu. Dziś żałuję (nie tylko ja), że niektórzy nasi nauczyciele nie zrobili nic, albo niewiele, aby nasze młode życie stało się wtedy przyjemniejsze i efektywniejsze. Ale przede wszystkim pamiętamy o naszych **Szkolnych Mistrzach**, którzy starali się ukształtować nasze osobowości jak tylko najlepiej potrafili. **Cześć im za to.** A autorom nieco dokuczliwych czynów przebaczymy i puszczać w niepamięć.

Czas dla nas, tych bardziej starszych, kurczy się dramatycznie. Co jakiś czas dowiadujemy się ze smutkiem, że ktoś znowu odszedł na zawsze... Nie ma więc żadnej pewności, że na następnym zjeździe przystąpimy do jakże sentymentalnych pytań w rodzaju... a pamiętasz? Nie ma!

Na koniec nieśmiała prośba do młodszych i całkiem młodych absolwentów: może kiedyś, mam nadzieję, sięgniecie do tej małej, na pewno zapomnianej już, historii Naszego Liceum. Mam nadzieję, że tak będzie!

Dopowiedzenie Pierwsze: Początki licealne

„Sapere aude, incipe ...” (Nie bój się być mądry, zacznij...).

Tym powiedzeniem Horacego rozpoczął naukę języka... angielskiego pan profesor (używam w całym tekście tradycyjnego tytułu w szkole średniej) Jan Ptak w mojej klasie VIII, w drugim dniu nauki w liceum. Po długim czasie (kiedy już nabrałem trochę śmiałości) zapytałem go skąd takie rozpoczęcie?! Odpowiedział ot, tak: przecież angielskiego nikt z was nie znał, a słowa starożytnego mędrca może tak... Miał rację! Łaciny i języka niemieckiego uczył nas od najprostszych słów niezapomniany ś.p. ksiądz Edward Janus, który na początku 1954 roku, tuż po przybyciu na wikariat założył kółko różańcowe i zdecydowanie rozbudował zespół ministrantów. Mieliśmy wtedy po 10, 11 lat... Pisałem o tym w dwóch wspomnieniach: „Teatr księdza Janusa”, i „W służbie Bogu i ludziom”, które ukazały się w „Almanachu Ziemi Koziegłowskiej 2007” pod redakcją dr Józefy Wiśniewskiej i na stronie (są do dziś) internetowej naszego U.M i G. Słowa „sapere” i „aude” miałem w swoich zapiskach, a „incipe” znalazłem w słowniku którym obdarował mnie ten legendarny duchowny. Żeby dodać moim wspomnieniom smaczku zaznaczam, że naukę łaciny – jako przedmiotu nadobowiązkowego – zakończyliśmy w klasie X też łacińską maksymą wypowiedzianą przez prawdziwego łacinnika pana profesora Ksawerego Sajewicza: „Tempus est optimus magister vitae” (czas to najlepszy nauczyciel życia). Wtedy na 17-letnim młodzieńcu słowa te nie zrobiły większego wrażenia. Dopiero znacznie później, a szczególnie teraz, z perspektywy dziesiątków lat mają prawdziwy, wręcz gigantyczny sens.

Ktoś czytając ten tekst może zapytać skąd u mnie tyle dokładnych wspomnień? Odpowiedź jest prosta: łączy się z innym świetnym nauczycielem, języka polskiego, panem profesorem Gotfrydem Pyką. To on namawiał nas od pierwszej lekcji (wrzesień 1958) do planowania w notesie lub kalendarzyku zadań na każdy dzień, ich realizację i notowania najistotniejszych wydarzeń i spostrzeżeń życiowych. Był naszym pierwszym szkolnym wychowawcą w całym tego słowa znaczeniu. Posłuchałem mojego ulubionego profesora, a nawyk pozostał. W rezultacie kalendarzowe archiwum urosło do sporych rozmiarów. Pan Pyka był w naszym liceum tylko dwa lata. Ze względów rodzinnych (ożenił się) przeniósł się do renomowanego liceum im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie. Odwiedzałem go tam często. Cierpliwie też, kiedy byłem w X klasie recenzował moje pierwsze

próby literackie... A do maksym łacińskich ciągle powracam. „Incipe” rozpocząłem od razu, z jakim skutkiem trudno samemu odpowiedzieć, nietaktem byłoby dokonywać takiej samooceny. Aha... czas to nie tylko nauczyciel życia i każdy z nas o tym się przekonał, albo nieustannie przekonuje. I jeszcze jedno... zawdzięczam moim nauczycielom: poloniście i łacinnikowi (choć uczył języka rosyjskiego) ukierunkowanie na teatr, wtedy prawie wyłącznie klasyczny. Byłem za ich namową w teatrze w Częstochowie na kilku sztukach, począwszy od „Obrony Sokratesa” Platona, czy szczególnie dramatycznej sztuki Pedro Calderona „Księżę Niezłomny” w swobodnym tłumaczeniu Juliusza Słowackiego i „Warszawiance” Stanisława Wyspiańskiego. Były jeszcze sztuki Jerzego Przeździeckiego „Garść piasku” i „Dzień oczyszczenia”. Była nasza klasa w teatrze w Katowicach na sztuce „Zemsta” Aleksandra Fredry. Były też inne bardziej „współczesne” wtedy sztuki. Niestety zawiódł mnie bardzo mój kalendarz, bardzo pożółkł, więc nie mogę podać dokładnych tytułów. Dziś bytność uczniów w teatrze to prawie zwyczajność, 60 lat temu wydarzenie i wielkie przeżycie.

DopowiedzenieDrugie: O nauczycielach

W 1958 roku z różnych powodów nastąpiła generalna wymiana kadry nauczycielskiej. Część poszła na emerytury, inni niespełnieni politycznie lub w oczekiwaniach kadrowych odeszli do innych miejscowości na czele z dotychczasowym dyrektorem. Ze „starych” pozostał tylko Jan Kluza (tylko na jeden rok, pełniąc krótko obowiązki dyrektora), Jan Ptak i Joachim Hornik. Do szkoły przyszła grupa młodych, świetnie przygotowanych nauczycieli, po ukończonych co dopiero renomowanych uczelniach, jak: Uniwersytet Jagielloński i WSP w Krakowie oraz Katowicach.

Byli to w kolejności:

- mgr Jarosław Kidawa – naucz. chemii i fizyki
- mgr Ksawery Sajewicz – nauczyciel języka rosyjskiego, łaciny i ... przysposobienia wojskowego
- mgr Alfred Pałucha – naucz. geografii, wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego
- mgr Teresa Prandzioch – naucz. historii, wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Wszyscy po UJ.
- mgr Bronisława Baltaza – naucz. biologii i higieny, po WSP Kraków
- mgr Gotfryd Pyka – naucz. języka polskiego, po WSP Katowice (w latach 70-tych doc. dr na Uniwersytecie Śląskim, zmarł w wieku 50-ciu lat, w czasie wykonywania pracy naukowej na uniwersytecie w Dreźnie, tuż przed mianowaniem na tytuł profesora nadzwyczajnego).

W trakcie pobytu mojej klasy w szkole doszli jeszcze bardzo dobrzy „normalni” matematycy: mgr Franciszek Zbieg i mgr Maria Muchla-Szumera oraz polonistki mgr Krystyna Skowrońska i mgr Helena Szychowicz. Nie mogę tu nie wspomnieć mojego wspaniałego kolegę ze studiów na UJ Jurka Bednarskiego, który przybył do naszego liceum w 1965 roku, późniejszego dyrektora, niestety przedwcześnie zmarłego.

W kontekście wyżej wymienionej kadry fatalnie zapisał się nie tylko w mojej pamięci jeden z nauczycieli, który w kompromitujący sposób prowadził zajęcia lekcyjne. Jego praca polegała tylko i wyłącznie na odpytywaniu. Wchodząc do klasy zabierał z pierwszej ławki podręcznik do przedmiotu, wypowiadał każdorazowo pytanie „na czym skończyliśmy?” i „do dzieła”. Tak było przez cały rok. Traktował nas jak mówiące przedmioty... na szczęście krótko. Wspominam tego człowieka z prostego powodu . Był tym nauczycielem z którym klasa spotkała się z jako inaugurującym lekcje szkolne. Nie mieliśmy pojęcia, że taki sposób prowadzenia zajęć będzie

codziennością. W slangu uczniowskim krążył powszechnie złośliwy dowcip (w niektórych szkołach nawet do dziś, choć wydaje się to nieprawdopodobne), że niektórzy nauczyciele są mądrzejsi od uczniów tylko o jedną lekcję. W opisywanym przypadku było odwrotnie. To my uczniowie byliśmy lepsi o tę jedną lekcję... bo my nauczyliśmy się już tego w domu.

A teraz kilka najistotniejszych faktów z życia zawodowego niektórych nauczycieli, pracujących w liceum w „moich” latach, czyli 1958-1962. Zaznaczam, że są to wyłącznie moje informacje: zapisane, zapamiętane i przemyślane.

JAN PTAK

Przybył do Kozięglów w 1947 roku i zaczął nauczać języka łacińskiego, nauki o Polsce, przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego, a także języka angielskiego od momentu usuwania ze szkół łaciny. Języka angielskiego nauczył się w Szkocji, gdzie znalazł się w czasie wojny z żołnierzami gen. Andersa. Bohaterstwem więc był jego powrót do Polski w czasach okrutnych prześladowań. Jego angielszczyzna była raczej potoczna, z wyraźnym akcentem, oczywiście szkockim. Słyszałem jak mówiono, że łaciny uczył się przed wojną w jakimś kolegium ojców Pijarów chyba w Poznaniu (?). Był bardzo popularnym, przystępnym i lubianym nauczycielem. Bardzo często przebywał z uczniami i graczami miejscowego LZS-u na boisku piłkarskim, tzw. „pasiece” lub na boisku przyszkolnym jako instruktor i sędzia. Był też pan Ptak człowiekiem religijnym. Jako ministrant regularnie widywałem go na mszach. W październiku roku szkolnego 1958/1959 został dyrektorem i ... przestał chodzić do kościoła, choć do PZPR nie wstąpił. Zdarzyła się jednak w jego życiu skaza, która mnie dotyczyła. Będąc uczniem X klasy wezwał mnie do gabinetu i nakazał zaprzestania bycia ministrantem. Zagroził też innymi konsekwencjami, np. odebraniem stypendium, mimo że byłem – nieskromnie mówiąc – jednym z lepszych uczniów. Nigdy nie wypełniłem tego polecenia, ale też – dzięki Bogu – nie spotkała mnie żadna represja z jego strony. Po latach, kiedy do sprawy nabrałem dystansu utwierdziłem się w przekonaniu, że Ptak nie mógł mi zrobić krzywdy, bo był zbyt dobrym i szlachetnym człowiekiem. Dyrektorem pozostał do końca roku szkolnego 1960/1961. Angielskiego uczył jeszcze przez rok, czyli do końca pobytu mojej klasy w liceum, po czym przeniósł się do innej szkoły, w innej miejscowości. Szeptano, że Ptak musiał odejść, bo nie chciał wstąpić do partii. Jeśli to była prawda to pozostanie dla mnie cichym bohaterem. Pewną ironią losu było to, że spotkaliśmy się po latach dwa razy jako nauczyciele na konferencjach w Ośrodku Metodycznym w Katowicach. Rozmawialiśmy o naszym liceum po... angielsku! Śmieszne? Wtedy nie, dziś trochę tak! Ileż w tym osobistego sentymentu...

Od roku szkolnego 1961/1962 dyrektorem liceum został tajemniczy z wyglądu i zachowania mgr Jerzy Malinowski. Też szeptano, że partia przysłała go w celu robienia porządków ideologiczno-politycznych i personalnych. Już we wrześniu na pierwszej hospitacji lekcji z wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, prowadzonej przez bardzo stremowaną nauczycielkę Teresę Prandzioch publicznie oświadczył (przede wszystkim Stasiowi Jagodzie, który wybierał się na Katolicki Uniwersytet Lubelski), że coś takiego nie istnieje i nie przypomina sobie żeby kiedykolwiek istniało. Nieprawdopodobna arogancja... człowieka niepocziwego... (to moja ocena). Stasiu Jagoda (niestety już nie żyje) dyplomatycznie nie złożył papierów na KUL, nie chcąc ryzykować nie wysłania ich tam przez szkołę; złożył podanie tak jak ja na UJ. Trzeba jednak uczciwie powiedzieć, że w ciągu całego roku szkolnego, my uczniowie nie doznaliśmy niczego złego ze strony tego

człowieka. Maturę zdaliśmy wszyscy, poprawkowicze też. Epizod z konkursem piosenkarskim wywołany został przez innego nauczyciela, ale o tym w innym miejscu.

JOACHIM HORNIK

To była wyjątkowo kontrowersyjna postać. Był dobrym nauczycielem tylko dla matematycznie uzdolnionych uczniów o mocnych nerwach i potrafiących znieść seryjne impertynencje. Był następcą Tadeusza Niedźwieckiego po jego przejściu na emeryturę. Hornik odszedł w marcu 1959 roku, a jego pracę nauczycielską przerwało brzemiennie w skutkach wydarzenie. Otóż jeden z uczniów klasy X (mój bliski starszy kolega) został wyrzucony przez Hornika z lekcji za to, że nie odpowiedział wystarczająco dobrze na jego pytanie. Ja będąc uczniem klasy VIII (I liceum) wracałem do sali z biblioteki, z lekturą potrzebną prof. Pyce do prowadzenia lekcji z języka polskiego. Zauważyłem oczywiście stojącego pod drzwiami zmartwionego kolegę. Niespodziewanie zjawił się na korytarzu dyrektor Jan Ptak, który po rozpoznaniu sprawy wszedł do klasy nakazując uczniowi zająć miejsce. Pan Hornik zdecydowanie zaprotestował mówiąc, że nie będzie pracował z uczniem który „czegoś tam” nie umie. Dyrektor Ptak z naciskiem stwierdził, że miejsce ucznia jest w klasie i pod żadnym pozorem nie można go wyrzucać. Uczeń ma prawo popełniać błędy, a nauczyciel jest zobowiązany do cierpliwego i systematycznego toku pracy z nim. W dalszym ciągu Hornik zdecydowanie odmawiał wpuszczenia ucznia do klasy i oświadczył, że w przeciwnym razie on sam wyjdzie. Dyrektor nie zaprzeczył. I tak oto nauczyciel sam zwolnił się z pracy. W szkole zapanowała euforia. Wreszcie słabsi lub przeciętni matematycznie uczniowie mogli liczyć na wyrozumiałość innego nauczyciela, co też się stało w niedługim czasie. Joachim Hornik nie przebierał w słowach, potrafił obrazić i ośmieszyć każdego, kto nie nadąża za jego tokiem rozumowania. Już we wrześniu 1958 roku, czyli w pierwszym miesiącu nauki jednemu z kolegów beczelnie i z szatańskim uśmiechem doradził tak: „większy pożytek będzie z ciebie jak będziesz robił kupę, a nie tu w klasie zajmował miejsce”. Prawda, że odkrywczą pedagogikę i dydaktykę prowadził?! Efekt był taki, że z klasy ponad 40-sto osobowej po dwóch miesiącach nauki zrezygnowało 6 osób. Nasz uzdolniony technicznie kolega nie wytrzymał chamstwa Hornika i przeniósł się do technikum w Częstochowie. Ukończył później Politechnikę Częstochowską. Dziś jest wybitnym ekspertem i rzeczoznawcą budowlanym.

Hornik był wojującym ateistą, czego byłem przypadkowym świadkiem. Któregoś październikowego wieczoru jako ministrant przygotowywałem z kościelnym panem Stanisławem Puszczewiczem kolejne nabożeństwo różańcowe. W pewnym momencie do zakrystii weszły dwie kobiety. Jedna z nich niosła zawinięte w długą poduszkę dziecko i zapytały kościelnego czy mogą go ochrzcić, ale... szybko i w tajemnicy. O tym nie może dowiedzieć się ojciec dziecka, który jest teraz w liceum na konferencji. Jeżeli się o tym dowie, wyrzuci ich z domu. Drugą kobietą była – jak się okazało – siostra matki. Tym nauczycielem okazał się być Hornik, co wyszło przy późniejszym odnotowywaniu w księdze chrztów. Obie panie też były z dala od Kościoła, bo na zapytanie księdza kto będzie ojcem chrzestnym odpowiedziały zgodnie i bez zdziwienia, że jedna będzie matką chrzestną a druga... ojcem. Tak oto kościelny został przymusowym ojcem chrzestnym bo ja byłem jeszcze niepełnoletnim młodzieńcem.

Joachim Hornik bożonarodzeniowe ferie uważał za zupełnie niepotrzebne i stratę czasu. Zadawał więc wystraszonym pierwszacom (czyli nam) gigantyczną ilość definicji i twierdzeń na temat potęgowania do

„wykucia” na pamięć! Po feriach z oczywistą bezduszością odpytywał po kolei. Los mniej „pamięciowych” był przesądzony... Należałem do sporej grupy najmniej uzdolnionych pamięciowo i matematycznie, ale ambicja i honor osobisty wyzwoliły u mnie nadzwyczajne siły. Do dziś niewiele pamiętam z wyuczonych w szkole wierszy, choć byłem przez wiele lat nauczycielem języka polskiego, ale definicję na temat „n-tej potęgi liczby a” wypowiem o każdej godzinie nocy... Dziś jestem starym belfrem emerytem, wypuściłem ze szkół tysiące ludzi i wiem, że dobry nauczyciel z natury sprawy pierwszy powinien rozpoznawać uczniowskie zamiłowania, upodobania i jego możliwości percepcyjne. Nigdy nie wolno go skreślać. W przeciwnym razie będzie u wielu młodych ludzi olbrzymie rozczarowanie i uczucie niesprawiedliwości. Sprawiedliwość i kontrolowana wyrozumiałość była u mnie zawsze na pierwszym miejscu.

Joachim Hornik ogromnie dokuczał wielu moim starszym kolegom. Jednym z nich był Tadeusz. Wszyscy widzieli jakim był ułożonym i gorliwym ministrantem i powszechnie mówiono, że pójdzie do seminarium duchownego. Tadeusz był dla mnie wzorem nie tylko ministranckim. Miał talent krasomówczy występując w pierwszoplanowych olbrzymich rolach w legendarnym Teatrze Księdza Janusa. Był utalentowanym sportowcem, niezwykle odważnym bramkarzem piłkarskiego LZS-u. A uczynność, dobroć i skromność to tylko niektóre przymioty jego osobowości. Hornik z premedytacją ateisty zwalczał Tadeusza mówiąc przewrotnie i szyderczo: „jakim ty będziesz księdzem nie umiając matematyki”!... Tadeusz opowiadał mi o tym dosłownie, choć byłem od niego młodszy. Dziś Tadeusz wspomina te wydarzenia bardzo spokojnie, a nawet z humorem, ale wtedy... Wspomina też zmarłego w ubiegłym roku ś.p. księdza Józefa Dawczyńskiego, który w owych latach ostrzegał go, aby zastanowił się nad swoją widoczną gorliwością. Bo może się to komuś nie spodobać i mogą być kłopoty... Proroctwo to były słowa. Józef Dawczyński został księdzem, Tadeusz nie. Ja też nie zostałem księdzem, choć bardzo poważnie o tym myślałem. No cóż, nie miałem powołania... Mnie Hornik nie przeszkodził w zdaniu matury, bo znalazł się w odpowiednim czasie i miejscu dobry człowiek Jan Ptak, uczciwy nauczyciel i dyrektor, który zatrzymał panoszące się w szkole czysto ludzkie i dydaktyczne zło. Wspominam to tak wyraziście i dobitnie! Historia Staszka z Hornikiem nie zakończyła się owego marcowego dnia... Któregoś roku wspominaliśmy ze Staszkiem szkolne lata i oczywiście zagadnąłem go na temat tego sławetnego człowieka. Usłyszałem zaskakującą historię. Otóż po maturze Stachu studiował na Akademii Ekonomicznej w Katowicach. Będąc już na V roku, któregoś dnia wsiadł z kolegami do tramwaju udając się na wykłady. Jakoś dziwnym trafem zaczęli wspominać czasy szkolne. Stach też opowiedział swoją historię. Koledzy ochoczo i dosadnie podsumowali postępek nauczyciela. Za plecami jednego z kolegów siedział człowiek, który w pewnym momencie energicznie wstał, popatrzał na Stacha i pośpiesznie wysiadł na najbliższym przystanku. Był to nieoczekiwane... Hornik. Nigdy później już się nie zetknęli. Szkoda – stwierdziłem – może powiedziałby czy zmienił swój stosunek do bliźnich.

JAROSŁAW KIDAWA

Rozpoczął pracę nauczycielską w liceum 1 września 1958 roku na fali wspomnianej wyżej generalnej wymiany kadry. W jego ruchach było widać pewność siebie. Cechował się elegancją. Z czasem doszła zarozumiałość. Traktował uczniów z wielkim dystansem, pozwalając sobie na onieśmielające ich określenia. Nauczycielem był dobrym, choć czasem niesprawiedliwym i tendencyjnym w ocenianiu (mówię to dziś

z perspektywy mojej pracy nauczycielskiej). Przez pierwszy rok pobytu w liceum zawsze uczęszczał na niedzielne msze święte, tzw. sumy, przystępując do komunii świętej. Jako ministrant byłem tego świadkiem. W drugim roku niespodziewanie już go w kościele nie widywałem i tak już pozostało do końca mojej nauki w liceum. Powód był prosty, zaczął robić karierę społeczno – polityczną. Po powrocie z przeszkolenia wojskowego pokazał się wszystkim w instruktorskim mundurze harcerskim, został podharcemistrzem. Widywałem go często z komendantem Hufca w Myszkowie niejakim Brychem (imienia nie pamiętam, a w zapiskach też go nie mam). Szefem szkolnej drużyny był wtedy Janek Marcjan (wszyscy mówili i mówią mu do dziś Janusz). Kiedy Janusz skończył liceum i udał się na studia w Krakowie, podharcemistrz Jarosław Kidawa mnie wyznaczył na drużynowego. Było to w X klasie czyli w 1960 roku. Jesienią tego roku komenda hufca zorganizowała trzydniowe szkolenie dla drużynowych w jakimś hotelu robotniczym w Częstochowie. Zapamiętałem ten pobyt wyraziście z powodu drastycznego wydarzenia, które w moim wrażliwym nie tylko religijnie umyśle zaległo na zawsze, co potem (chyba niepotrzebnie) łączyłem z przyszłymi losami tego nauczyciela. Otóż drugiego dnia zorganizowano tzw. otwarte zebranie podstawowej organizacji partyjnej powiatowego hufca. Okazało się, że Brych był I-szym sekretarzem a Kidawa II-gim. Nie miałem pojęcia o strukturach PZPR, ale fakt ten wyjaśnił mi powody nagłego nie uczęszczania mojego nauczyciela do kościoła. Na zebraniu przyjmowano do partii jakąś instruktorkę. Tuż po jednomyślnym głosowaniu, Brych chcąc pogratulować „szczęśliwej” harcerce, wstając zawadził ręką o swój notatnik z którego wysunął się obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej... Kidawa bez namysłu podniósł obrazek i wyrzucił go przez okno! Brych bardzo niezręcznie zaczął tłumaczyć zebranym, że obrazek na pewno włożyła mu do notatnika matka... Faktem jest, że komendantem już był niedługo. Często myślałem o postępkach pana Kidawy i wiem, że nie musiał tego robić.

Jak już wyżej pisałem od 1 września 1961 roku dyrektorem liceum został Jerzy Malinowski jak mówiono „człowiek z nikąd”. Nieoczekiwanie zastępcą Malinowskiego został Jarosław Kidawa. Pierwszy krok w jego karierze został zrobiony. W roku poprzednim (1960/1961) zastępcą dyrektora, czyli jeszcze za czasów Ptaka została Krystyna Skowrońska przeniesiona z liceum w Żarkach, bardzo wymagająca i perfekcyjna, czasem niesprawiedliwie oceniająca nauczycielka języka polskiego. Przebąkiwano, że to będzie - na długie lata - przyszła dyrektorka szkoły. Po roku odeszła w niesnaskach, nie pamiętam gdzie. Nawet dobrze, bo pozwalała sobie na fatalne, prześmiewcze i szydercze opinie o uczniach w klasie i poza nią.

„Dobry” duet Malinowski – Kidawa rządził niepodzielnie, do tego stopnia, że chcieli wyrzucić ze szkoły na 4 miesiące przed maturą niezłych uczniów za... nieposłuszeństwo. Otóż Radio Katowice ogłosiło konkurs na talenty wokalne. Zgłosili się Jadzia Balińska (niestety już nie żyje), Jadzia Kaźmierczak, Stasiu Jagoda (też już nie żyje) i ja. Jadzia Balińska zdążyła już pojechać do Katowic na przesłuchanie, gdzie zrobiła furorę śpiewając piosenkę „Złoty pierścione” i została zakwalifikowana do finału. Pochwaliła się oczywistym sukcesem i bomba wybuchła. Ogłoszono publicznie na apelu, że zostaniemy usunięci ze szkoły. Ależ Kidawa triumfował prezentując swój buńczuczny wtedy obraz twarzy! Oczywiście chodziło o to, że nie zapytaliśmy go o zgodę. Nieważny był przyszły, ewentualny sukces reprezentantów naszej szkoły. Chodziliśmy, szczególnie ja, „po prośbie” bowiem poczułem się niezwykle upokorzony. Przeżywaliśmy straszliwie niesprawiedliwie nakręconą aferę. A oni grali sobie na naszych uczuciach do woli. Po trzech dniach trzymania nas w niepewności, wyrzucenie zamieniono na zawieszenie w prawach ucznia, pod warunkiem „jednak wyrzucenia” gdyby ktoś z nas udał się na

przesłuchanie konkursowe. Nie pojechaliśmy... Moi rodzice nie wiedzieli o aferze, bałem się, że... „umrą ze strachu”. Takie to były wtedy czasy... Warto wspomnieć, że Jadzia Kaźmierczak przygotowała na konkurs piosenkę „O Jimmy Joe”, Stasiu Jagoda „Cichą wodę”, a ja „Oczarowanie” spopularyzowaną wtedy przez Sławę Przybylską.

Niechęć Jarosława Kidawy do mnie spotęgniała od momentu przybycia do naszej klasy (X) jego siostry, którą przeniósł z jakiegoś liceum w Zagłębiu. „Przygadałem” jej kiedyś, no i nie musiałem długo czekać na rewanż, srogi rewanż (oczywiście jej brata). Jeszcze w X klasie polecił mi przygotować bardzo skomplikowany referat na temat reaktorów chemicznych. Bibliografii nie dostałem żadnej, w bibliotece szkolnej też jej nie było, więc zmuszony byłem pojechać na Politechnikę Częstochowską, gdzie udostępniono mi odpowiedni skrypt. Wracając wstąpiłem do księgarni w I Alei, gdzie znalazłem i kupiłem wspaniałe opracowanie na powyższy temat. Ilustracje na arkuszach technicznych przygotował uzdolniony rysunkowo Rysiek Wieczorek. Ostatecznie przez 5 godzin lekcyjnych referowałem zagadnienie. W nagrodę (?) dostałem dwie oceny bardzo dobre, za jak to powiedział nonszalancko: skrupulatność i zaangażowanie (tak zanotowałem w kalendarzu). Rysiek rysował „za darmo”, przecież nie był to przedmiot o nazwie „rysunek”. I jeszcze jedno znaczne wydarzenie z czasów profesora Jarosława Kidawy. Małe licea miały wtedy tę bolączkę, że często brakowało godzin na pensum dla jakiegoś nauczyciela. Musieli oni uzupełniać etat godzinami z wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego. Jarosław Kidawa też uzupełniał etat - z wychowania fizycznego. Wymyślił wtedy przebudowę przyszkolnego boiska na ... lodowisko. Napracowaliśmy się co niemiara przy zrywaniu trawników i przekopywaniu żwiru w celu uzyskania poziomu. Kiedy zaczęto nalewać wody, ta przerywała skąpe wały lub wsiąkała w podłoże. W końcu trochę lodu uformowało się, ale jazdy na łyżwach było niewiele. Na wiosnę dawne boisko było tak nierówne i grząskie, że o normalnej grze w piłkę nożną czy ręczną nie było mowy. Trzeba było chodzić na wspomnianą wyżej „pasiekę”. Już po 1962 roku, czyli po naszej maturze, któregoś roku oddano połowę dawnego boiska pod budowę apteki i tak zakończył się wspaniały czas przyszkolnego boiska służącego przez dziesiątki lat do różnego rodzaju gier, zawodów i apeli szkolnych. Z czasem do ocalałej części dawnego budynku liceum przeniesiono przedszkole, a na pozostałej połowie boiska utworzono plac zabaw dla dzieci.

Wspomniałem wyżej o ciągłej niechęci profesora Kidawy do mnie. Trwała ona do samej matury. Na pisemnym egzaminie z matematyki otoczył mnie „szczególną opieką”, pilnując abym nie otrzymał jakiegokolwiek pomocy, nawet słów otuchy.

Po jakimś czasie z perspektywy mojej nauczycielskiej pracy często myślałem, być może niesłusznie, że wielu ludzi chciało komuś wyrządzić krzywdę z powodów religijnych lub w obawie przed utratą stanowiska. Czy można mój tak trudny przypadek ze wspomnianym wyżej nauczycielem tak nazwać? Prawidłowa odpowiedź jest niemożliwa.

Na stanowisku wicedyrektora pan Kidawa „męczył się” aż 3 lata. Jerzy Malinowski odszedł ze szkoły w atmosferze niesmaku. Dyrektorem został Jarosław Kidawa – wreszcie. Ale o tym okresie jego życia już wiem tylko z opowiadań. Chcę tę opowieść o moim nauczycielu zakończyć miłym akcentem. Będąc już na pierwszym roku studiów na UJ przyjechałem pociągiem z Krakowa do Częstochowy. Udając się na dworzec PKS-u niespodziewanie natknąłem się na mojego niedawnego nauczyciela, który też zamierzał dojechać do Koziegłówek autobusem. Nieoczekiwanie zaprosił mnie do pobliskiej restauracji na... obiad i coś tam jeszcze...

Dyplomatycznie wspomnień szkolnych nie było. Opowiadałem o Krakowie i legendarnym akademiku „ŻACZKU”, w którym on też mieszkał. O jak dobrze, że doszło do tego spotkania, moja niechęć i złość przemieniła się w prawdziwą obojętność i sprawiły ulgę. Spotkałem pana Jarosława Kidawę jeszcze tylko jeden raz na otwarciu nowego budynku liceum. Potem mówiono mi o jego karierze politycznej i w dziedzinie kultury. Wreszcie któregoś dnia ze smutkiem przyjąłem wiadomość o jego przedwczesnej śmierci...

ALFRED PAŁUCHA

Urodził się w sąsiednim Siewierzu. Przybył do naszego liceum 1 września 1959 roku, po ukończonej geografii na UJ.

Nieprawdopodobnie pogodny i przyjazny człowiek. Był tak młodo wyglądający, że niewiele różnił się od nas szczególnie kiedy byliśmy w ostatniej klasie. Mieliśmy z nim wtedy dodatkowo (oprócz geografii i astronomii) wychowanie fizyczne, tzn. z chłopcami, bo dziewczęta miały w-f z ... polonistką Janiną Surowiec. Miał wysportowaną sylwetkę rasowego piłkarza. W czasie studiów był w reprezentacji UJ w piłce nożnej, która w 1957 roku brała udział w turnieju drużyn uniwersyteckich w Anglii. Spotkał tam – jak frapująco opowiadał – legendarnego piłkarza angielskiego Stanley’a Mathews’a.

To jemu nie mogłem odmówić w trudnej sytuacji kadrowej w liceum podjęcia się nauczania języka angielskiego (o czym pisałem w innym miejscu). Miałem też z jego udziałem mały sukces osobisty, doprowadzając mnie do stopnia wojewódzkiego olimpiady geograficznej.

Po odejściu ze szkoły Gotfryda Pyki był moim powiernikiem. Zawsze potrafił wszystko „uładzić” i wytłumaczyć. Nigdy nie było z nim niepotrzebnych sporów, niesnasek czy poczucia niesprawiedliwości w ocenianiu. A ileż miał taktu pedagogicznego!! Wzór prawdziwego nauczyciela i przyjaciela uczniów.

Bardzo przeżyłem jego przedwczesną śmierć.

KAZIMIERZ ROMANOWSKI

Wszechstronnie uzdolniony muzycznie. Był bardzo cenionym nauczycielem śpiewu, muzyki i tańca. W pierwszej i drugiej klasie liceum uczył nas przedmiotu o nazwie „śpiew”. Czasem udawało się go namówić do wirtuozowskiej gry na skrzypcach. Szczególnie utkwiała mi w pamięci przejmująca melodia Michała Ogińskiego „Pożegnanie Ojczyzny”. I dlatego zawsze kojarzę go z tą przepiękną i przejmującą melodią.

Prezentował nienaganną szarmancką sylwetkę. Zawsze elegancki i klasycznie uprzejmy, acz bardzo stanowczy i wymagający. W 1959 roku założył wspaniały zespół taneczny i muzyczny, w której mandoliny odgrywały dominującą rolę. Byłem członkiem zespołu tanecznego, a w klasach X-XI wykonywałem solowe pieśni (również ze Stachem Jagodą) np. dramatyczną i przejmującą „Drogę”. Popisowym utworem całego zespołu był „Furman”, bardzo popularny utwór „Mazowsza” z imponującą partią solową Stanisława Jopka. Apogeum zespół przeżywał w latach 1964 - 1966, kiedy to klasyczne tańce góralskie kapitalnie prezentowali m.in. Jurek Marcjan i Marian Niedźwiecki, zaś Jasia Barakońska popisywała się znakomitymi umiejętnościami wokalnymi.

Działalność artystyczna wybitnego mistrza muzyki i tańca pana Kazimierza Romanowskiego zapisała się złotymi zgłoskami w dziejach naszej szkoły.

Ukończył filologię klasyczną na UJ. W liceum łaciny nauczał tylko w formie zajęć nadobowiązkowych. Z konieczności generalnie prowadził język rosyjski uzupełniając etat godzinami z przysposobienia wojskowego. Oprócz oczywiście greki zna język angielski. Jest nieprzeciętnie językowo uzdolnionym człowiekiem. Przykładem tego niech będzie opanowanie gramatyki języka hiszpańskiego w ciągu wakacji, czego byłem świadkiem. Nauczanie rosyjskiego ograniczał w zasadzie do czytania i tłumaczenia kolejnych „czytanek” narzuconych programowo w podręczniku.

W Liceum Medycznym w Rybniku, w którym pracował do emerytury nauczał już tylko łaciny. W naszym liceum lubił błyszczeć znajomością wielu dziecin życia. Przekonałem się o tym osobiście organizując konkursy dla nauczycieli z okazji ich święta – wygrywał zawsze bezkonkurencyjnie!

Niestety był nieobliczalny w ocenianiu i poleceniach. Posłużę się tu zdarzeniem w klasie VIII, kiedy nakazał nam za karę – w olbrzymiej złości – przepisywanie działu deklinacji z języka... polskiego, bo nikt z nas nie potrafił prawidłowo odmienić jakiegoś rosyjskiego wyrazu. To była kara!: 10 razy, nieważne, że po polsku, ale kara... Do następnej lekcji rosyjskiego było 3 dni, zdążyłem przepisać jeden raz, ile inni – nie pamiętam. Najgorsze w tym wszystkim było to, że w konsekwencji nigdy nie wyegzekwował tego przepisywania, ot po prostu zapomniał. I jak tu nie zwątpić na początku edukacji licealnej: Hornik swoje, Sajewicz swoje, nie licząc nonsensów innego nauczyciela.

Po jakimś czasie koledzy ze starszych klas znaleźli sposób neutralizujący nastroje naszego profesora. Andrzej Cempura będący wtedy w ostatniej klasie doradził mi aby na początku lekcji delikatnie zadać mu pytanie np. ze starożytnego Egiptu. Andrzej był wtedy dla mnie swojego rodzaju idolem: dobrze grał na skrzypcach, pięknie śpiewał, nieprzeciętnie uzdolniony aktorsko o cechach przywódczych więc wziąłem jego porady na poważnie. Andrzej i jego klasa mieli już za sobą trzygodzinną opowieść o Tutanchamonie, egipskim faraonie. Wziąłem więc I wydanie 1-tomowej *Encyklopedii Powszechnej*, którą kupiłem w księgarni w Częstochowie (spod lady bo była w subskrypcji) za „uciulane” pieniądze i zacząłem wyszukiwać hasła na tzw. „sprawdzenie wiedzy”. Pan profesor tylko kiwał głową czując – chyba – prowokację. Dyplomatycznie więc nie dochodził moich intencji i ze swadą wprowadzał nas, na kolejnych lekcjach, w tajniki starożytności, faraona egipskiego też. Z biegiem lat tematów przybywało. Rosyjskiego nauczyliśmy się, a jakże, między...dyskusjami. Często też „popisywałem się” czytaniem polskich tłumaczeń dzieł rosyjskich pisarzy, np. „Rewizora” Gogola. To „łagodne” traktowanie języka „wyszło” mi później fatalnie na pierwszym lektoracie na studiach, kiedy wywołany do tablicy nie potrafiłem w miarę prawidłowo napisać podyktowany tekst (pamiętam go do dziś). Wstydu było co niemiara. No cóż, za błędy uczniowskiej niefrasobliwości trzeba płacić... A dla usprawiedliwienia dodam, że na świadectwie maturalnym miałem „tylko” dobry, czyli bezpiecznie (?).

Nie mogę jednak nie wspomnieć o dwóch zdarzeniach, które głęboko utkwiły mi świadomości, mimo upływu 55-ciu lat. Pierwsze ot takie sobie, choć wspominamy go w koleżeństwie często. Dostało nam się kiedyś bezlitośnie (na rosyjskim), określeniami z pogranicza szyderstwa i nieuctwa. Otóż w klasie X trwała dyskusja na tematy historyczno-etnograficzne (tak to mam zapisane w kalendarzyku). Wystarczyło, że nikt z nas nie potrafił szybko nazwać jednym wyrazem czynności związanych z zapisywaniem zdarzeń historycznych. Oczywiście słowo „historiografia” w końcu padło, co uratowało nas od kompromitującej oceny poza „ścianami” naszej klasy

(a takie oceny nauczycielom się zdarzały). Drugie zdarzenie miało miejsce w klasie ostatniej i było dramatyczne w wymowie. Oczywiście na lekcji rosyjskiego wywiązała się dyskusja na temat kultu jednostki (bardzo popularnego wtedy zagadnienia, ze względu na potępienie przez Chruszczowa stalinizmu). Ku naszemu olbrzymiemu zdziwieniu nasz szanowany profesor porównał wielkich tego świata do niektórych Świętych, którzy są dla niego (nauczyciela) wzorcowym przykładem tego kultu!! Zawrzało w moim umyśle i odważnie powiedziałem, że Chrystus i jego święci wyznawcy są dla miliardów ludzi zwiastunem Dobrej Nowiny. Niektórzy wielcy tego świata – ciągnąłem – byli i są dyktatorami, despotami, a także zboczeńcami. Profesor tylko na to czekał i z miną szyderycy zaczął udowadniać, że fragmenty z „Kazania na Górze” (a jednak znał!) brzmiące: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie” (Mt.5.3.) są przykładem tego, że „ubodzy duchem” to ludzie niespełna rozumu, po prostu idioci. Doczekałem się... gigantycznego zgorszenia i obrazy uczuć religijnych, i to od kogo? Od mojego, naszego, cenionego nauczyciela. Zdążyłem jeszcze dopowiedzieć, że taka interpretacja jest niezwykle krzywdząca dla nas wierzących i zabrzmiał dzwonek. Nie wiedziałem co ze mną będzie jutro, do matury było tylko 4 miesiące, no i jeszcze ta moja ministrantura. Nic się na szczęście nie stało. Już grubo po maturze w towarzyskiej rozmowie dowiedziałem się od mojego dawnego profesora, że światem rządzi... absolut. Tematu nie podejmowałem, choć mogłem to zrobić już bez obaw. Stwierdzam jednak jednoznacznie, że nigdy potem (do matury) nie doznałem od mojego adwersarza afrontów, szykan czy złośliwości. Mało tego! Wybierając się na egzamin wstępny na UJ zaproponował mi, w zasadzie nam, (bo egzamin na matematykę zdawał Stasiu Jagoda), że pojedzie z nami do Krakowa abyśmy tam nie błądzili i pragnie nas wesprzeć psychicznie na te ciężkie chwile. Zdumiewające, prawda?

I jeszcze jedno... Odmienne spojrzenie na świat ducha kiedyś w szkole i później nigdy nie zachwiało naszą przyjaźnią, bo tak to muszę określić. Spotykaliśmy się dziesiątki razy w jego domu w Rybniku. Odwiedzał mnie bardzo często w Kuratorium Oświaty i Wychowania w Katowicach (taka była kiedyś nazwa) gdzie pracowałem kilka lat (do emerytury) jako kierownik działu oświaty ustawicznej (permanentnej jak ktoś woli). Trzy razy spotykał się z nami na spotkaniach klasowych i towarzyskich. Jeden raz u Stacha na „krzyżówce”, co uwidocznione jest na fotografii. O rozmowach telefonicznych nie wspominam bo była ich niezliczona ilość. I niech tak będzie do końca naszych dni.

Dopowiedzenie Trzecie: O mojej klasie

W 1962 roku była 13-ta matura (pisałem o tym w artykule zamieszczonym w Almanachu 2007 i na stronie szkolnej). Na 17-stu wtedy przystępujących do egzaminu zdali wszyscy. Z żalem jednak stwierdzam, że na dzień dzisiejszy odeszło od nas na zawsze 5 osób. Pozostali biorą czynny udział w naszych licznych spotkaniach. Mamy o czym rozmawiać – o chorobach i zmartwieniach też. Cieszymy się swoją obecnością i utrzymujemy stały częsty kontakt telefoniczny i osobisty. Ten zjazd to nasze ósme spotkanie od 1996 roku. Pierwszy raz nasza klasa zebrała się samodzielnie w 2007 roku na 45-lecie naszej matury.



Foto własne

Jesteśmy w pomieszczeniu gdzie zdawaliśmy maturę, dziś jest tu przedszkole

W następnym roku nasza wychowawczyni Teresa Prandzioch zaprosiła nas do swojego domu w Świętochłowicach. O transport z Rybnika pana Sajewicza zadbał Stasiu Kidawa, mieszkający w Rudzie Śląskiej. Ostatnie spotkanie klasowe odbyło się z „wielką pompą” w 2014 roku dla uczczenia 70-tych urodzin każdego z nas (byli też koledzy kończący z nami szkołę podstawową). Wspomniał o tym w słowie wstępnym ksiądz proboszcz. Koniecznie trzeba tu wymienić moje koleżanki i kolegów, którzy brali udział w spotkaniach: Barbara Jadowska-Nowak, Barbara Piernikarz-Kulej, Maria Dziurawicz-Sowińska, Gabriela Gawęda-Nawara, Jadwiga Kaźmierczak-Mildner, Maria Kidawa, Wiesława Pasek-Szulc, Wanda Wróbel, Henryk Daniel, Stanisław Kidawa i oczywiście ja. Kiedyś byli inni, niestety już nie żyją, np. Jadzia Balińska-Tabor (na foto druga z prawej strony).

Wspomnę jeszcze Henia Daniela, który jest mi szczególnie bliski, kiedyś nauczyciel gminnych szkół i gimnazjum w Kozięglowach. Heniu „nadaje” na tych samych falach myślowych i religijnych co ja, niezwykle uczynny i koleżeński, bardzo uzdolniony muzycznie.

Koniecznie muszę wspomnieć o tzw. „tablo”. Otóż moja klasa jako pierwsza w historii szkoły zafundowała sobie taką pamiątkę. Tablo wisiało w starej szkole w tzw. świetlicy, później przez kilka lat w nowym budynku w głównym korytarzu obok innych. W czasie remontu zniknęło i nikt nie wie gdzie jest. Szkoda... A wyglądało tak:



Tablo wykonane przez panów T. Proszowskiego i Z. Kucię

Dopowiedzenie Czwarte: O nieobecnych kolegach

Bardzo dotkliwie odczułem nieobecność na imprezie moich najbliższych kolegów, autentycznych przyjaciół, z kilku wcześniejszych roczników. Wszyscy – niestety – mieli jednoznacznie wiarygodne usprawiedliwienia: poważną chorobę, występ aktorski bez możliwości zastępstwa, czy pobyt za granicą. Czyniłem wśród nich „szum” wokół zjazdu. W rozmowach telefonicznych uświadamiałem każdemu z osobna, że może to być już ostatnie tego rodzaju spotkanie, wszak wszyscy już jesteśmy wyraźnie po symbolicznej 70-tce. Niestety moje zabiegi były daremne. Dla ich usprawiedliwienia pragnę dodać, że to grono nieobecnych na zjeździe zbierało się już trzy razy na nieformalnych spotkaniach w ciągu ostatnich lat. Pierwszy raz w 2008 roku na 50-cio lecie zakończenia działalności tzw. Teatru Księdza Edwarda Janusa w jego rezydencji w Katowicach. Drugie i trzecie spotkanie odbyło się w domu Stasia Gwizdy w Koziegłowach na „krzyżówce” w 2013 i 2014 roku. Ostatnie spotkanie dokumentuje poniższa fotografia na której widnieją od lewej: Józef Kaczorowski (rok ukończenia LO 1958), Marian Znamierowski (1961), Jan Marcjan (1960), Tadeusz Rarok (1957), Stanisław Gwizda (1960), Jan Kałuziński (1962), Józef Bednarczyk (1961), mgr Ksawery Sajewicz, Stanisław Andrzej Cempura (1959).



W czasie zjazdowego spotkania pytano mnie często o losy wyżej wymienionych a także innych nieobecnych absolwentów z różnych roczników, np. Józefa Noszczyka (1963), Stanisława Adamieckiego (1961), Feliksa Ciuka (1959), czy Stanisława Słotę (1959). Niestety wszyscy już nie żyją. Pytano mnie ku mojemu zdziwieniu o los absolwenta z 1958 roku Janusza Bereszki. Na gorąco ani ja, ani inni najstarsi absolwenci nic o nim nie wiedzieli. Dziś wiem, że jest lekarzem w Głuchołazach. Pamiętam, że był ulubieńcem pana Ptaka, stawiał go nam za wzór za biegłą znajomość języka angielskiego.

A teraz kilka informacji o moich wyżej wymienionych przyjaciółach w kolejności jak na fotografii:

- Józef Kaczorowski, mieszka w Katowicach, specjalista energetyk. Szef Solidarności w hucie Baildon. Internowany w stanie wojennym.
- Marian Znamierowski, mieszka w Krynicy. Ukończył pedagogikę na UJ. Ekspert w sprawach resocjalizacji. Międzynarodowy sędzia w tenisie ziemnym, (mieszkał ze mną w jednym pokoju w Żaczku przez dwa lata).
- Jan Marcjan, mieszka w Krakowie. Ukończył polonistykę na UJ, znany dziennikarz krakowski. (Więcej informacji na końcu wspomnień).
- Tadeusz Rarok, mieszka w Koziegłównach, ukończył pedagogikę na WSP w Częstochowie. Był naczelnikiem gminy w Koziegłównach i burmistrzem miasta i gminy Koziegłowy.
- Stanisław Gwizda, mieszka w Myszkowie, ukończył Akademię Ekonomiczną w Katowicach, był dyrektorem banku i wicedyrektorem Papierni w Myszkowie.
- Jan Kałuziński, mieszka w Gliwicach. Studiował polonistykę na UJ. Był dyrektorem Zespołu Szkół Samochodowych i III LO oraz inspektorem oświaty w Gliwicach. Pracował w Kuratorium Oświaty i Wychowania w Katowicach. Do dziś czynny zawodowo w kształceniu dorosłych.

- Józef Bednarczyk, mieszka w Częstochowie. Studiował na AGH w Krakowie. Ekspert do spraw energetyki, zajmował kierownicze stanowiska w zakładach energetycznych.
- Stanisław Andrzej Cempura, mieszka w Kielcach. Studiował na KUL. Do dziś czynny aktor teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, prowadzi stały program telewizyjny dla seniorów „Seniorada”.

Pytano mnie jeszcze o Macieja Będkowskiego, niestety z jego rocznika 1961 nie było nikogo. Wspomogły mnie w informacji o nim jego siostry Maria i Danuta obecne na zjeździe. (Marysia była żoną ś.p. Jurka Bednarskiego). No więc Maciek ukończył Politechnikę Częstochowską. Jeszcze w czasie studiów, będąc na praktyce studenckiej w Anglii poznał dziewczynę o imieniu Teresa, ożenił się z nią później i pozostał tam na stałe. Ma dwóch synów i córkę, z czego jest bardzo dumny. Jest wybitnym inżynierem w dziedzinie silników, szczególnie Perkinsa i w dziedzinie energetyki. Ma dużą ilość patentów. Wystarczy wpisać frazę w Internecie „Maciej Bedkowski Perkins” aby się o tym przekonać. Prowadzi wykłady i konferencje naukowe na całym świecie m.in. w Atlancie, Modesto w Kalifornii, Chicago, Stuttgartzie i na kilku brytyjskich uniwersytetach, na tematy najnowszych silników, filtracji paliw i materiałów kompozytowych. Był też przez wiele lat prezesem (chairman) Nottingham University Composite Club. **Ależ mamy absolwenta kolegę na obczyźnie. Maciej brawo!** Całe zawodowe życie spędził w słynnym na świecie Perkins Engines Company. W dalszym ciągu jest wykładowcą w regionalnym Peterborough Regional College. Od jakiegoś czasu mam z nim częsty kontakt e-mailowy. Bardzo sobie cenię tę wznowioną znajomość. Maciej był dla mnie uosobieniem inteligencji, wzorowej ogłady, życzliwości i radosnej aparycji. A wygląda po 55-ciu latach tak:



Foto własne

Maciej nazywa ten silnik Perkinsa „staruszkiem”, bo są już - jak mówi - znacznie nowocześniejsze.

Na koniec moje bardzo osobiste zwierzenie. Do dziś z rozrzewnieniem wspominam tamto odległe poważne traktowanie mnie przez starszych kolegów, których wyżej wymieniałem. Doznawałem od nich przychylności, serdeczności, czasem słów zachęty i uznania. Ceniłem i cenię sobie to nadal, choć minęło już tyle lat. Próbuję systematycznie odwdzięczać im się za to w miarę częstymi telefonami i zachęcaniem do spotkań, bo czas nieubłaganie ucieka... Niech ta krótka wzmianka będzie tego potwierdzeniem.

Dziękuję Wam Wspaniali Przyjaciele!

Dopowiedzenie Piąte: Dla ciekawskich

Wielu uczestników zjazdu było ciekawych wyglądu i tekstów Listów Gratulacyjnych i choć za każdym razem burmistrz odczytywał tekst skierowany osobiście do uhonorowanej osoby, niewielu było w stanie w tej emocjonalnej atmosferze zapamiętać szczegóły. Mój list jakiś czas „krążył”. Postanowiłem więc „ujawnić” tekst tego Listu:



*„Wspomnienia są kartą historii
i stanowią skarbnię przeszłości
głęboż zakorzenionej w sercach i pamięci ludzkiej.”
Phil Bosman*

LIST GRATULACYJNY



dla

Sz. P. Jana Kałuzińskiego

Uroczystość związana z obchodami Jubileuszu 70 – lecia Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Skłodowskiej Curie w Koziegłowach to okazja do podsumowań i wspomnienia chlubnych kart historii, na których widnieje Pana nazwisko. To właśnie w tych murach zostawił Pan skrawek siebie i swojego serca.

Pragnę w tak uroczystym dniu podziękować Panu za trudną pracę i wskazanie właściwej drogi wielu wkraczającym w dorosły świat młodym ludziom.

Proszę przyjąć życzenia dobrego zdrowia, wiele szczęścia, pogody ducha oraz aby Pan zawsze z dumą spoglądał w przeszłość a zarazem z ufnością patrzył w przyszłość.

Burmistrz
Gminy i Miasta Koziegłowy

Jacek Słotko

Koziegłowy, dnia 4 czerwca 2016 r.



Dopowiedzenie Szóste: Nostalgiczne

Najstarsi absolwenci, ci do roku 1964, nie mieszkający w Koziegłowach z olbrzymią ciekawością spoglądali na odbudowany od fundamentów budynek „starej budy” jak się wtedy mówiło, czyli Pałacu Biskupiego. Został on bezmyślnie zburzony na polecenie autorytarnych sekretarzy. Rewitalizacja ta, to gigantyczne osiągnięcie zarządzających miastem i lokalnych organizacji pozarządowych i społecznych.

Stokrotne dzięki im za to!

Dopowiedzenie Siódme: Aneks o osiągnięciach już bardzo dojrzałych absolwentów

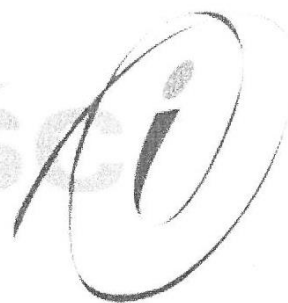
Bardzo cenna publikacja wydana z okazji 65-cio lecia powstania Liceum zawiera m.in. osiągnięcia uczniów, ale dopiero od roku 1992-1993. Ja chciałbym sięgnąć aż do roku 1959-1960, czyli do moich lat uczniowskich. Uważam, że warto o tym wspomnieć choćby ze względu na formułę z gatunku „ocalić od zapomnienia”. Na przestrzeni wielu lat najbardziej prestiżowym i popularnym konkursem szkolnym była *Olimpiada o Polsce i Świecie Współczesnym*. Jak zawsze w całym liceum przeprowadzano eliminacje i okazało się, że w omawianym roku najlepiej odpowiedzieli na pytania Irena Pentak, Jan (Janusz) Marcjan z klasy XI oraz ja z klasy IX. Jako drużyna szkolna udaliśmy się do Myszkowa na powiatowe eliminacje gdzie zajęliśmy ex-aequo pierwsze miejsce z drużyną licealną z Żarek. Już wtedy był to olbrzymi sukces. Opiekował się nami – oczywiście – pan profesor Ksawery Sajewicz. Na eliminacje wojewódzkie do Pałacu Zagłębia w Dąbrowie Górniczej pojechaliśmy w poszerzonym składzie o ucznia szkoły podstawowej Stasia Szmukra, który wyróżniał się bardzo dużą wiedzą encyklopedyczną; przypięto mu też z tego powodu łatkę „globus”. Nasz znakomity opiekun postanowił zabrać go z nami dla tzw. „obycia się”, choć był to konkurs tylko dla szkół średnich. W finale niespodziewanie sprawiliśmy sensację zdobywając trzecie miejsce ulegając pechowo jednym punktem liceum z Katowic i dwoma punktami liceum z Żarek. Stasiu został obdarowany nagrodą książkową dla... najmłodszego uczestnika. Konkurs odbył się w niedzielę, zaś w poniedziałek na apelu całej społeczności szkolnej (oczywiście na boisku szkolnym) uroczyście nas powitano i przy aplauzie zebranych dyrektor Jan Ptak ogłosił, że jest to dotychczas największe osiągnięcie szkoły w konkursach od początku jej istnienia! A co z bohaterami tamtego sukcesu? Irena Pentak, po mężu Chwastek, ukończyła prawo na Uniwersytecie Wrocławskim i przez całe lata była sędzią sądów różnych szczebli. Dziś jest sędzią w stanie spoczynku i adwokatem. Janusz Marcjan zrobił autentyczną karierę dziennikarską. Już w czasie studiów był szefem studenckiego radia w nowo otwartym akademiku z okazji 600-lecia UJ w Krakowie. Następnie był redaktorem popularnej, opiniotwórczej „Gazety Krakowskiej”, by wreszcie zostać zastępcą redaktora naczelnego poczytnego „Przekroju”, w którym pracował do emerytury. Stasiu Szmukier, oczywiście dziś Stanisław, jest elektronikiem i mieszka w Zabrze.

Dopowiedzenie Ostatnie: Osobiste

Wspomniana na początku tego materiału notka biura prasowego Uniwersytetu Jagiellońskiego i podziękowania prezesa Stowarzyszenia Absolwentów UJ i Mieszkańców Żaczka zawierają nazwiska o których pragnę dodać kilka osobistych wyjaśnień.



AKTUALNOŚCI
UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO



Doroczne spotkanie byłych mieszkańców DS „Żaczek”

Stowarzyszenie Mieszkańców "Żaczka" zorganizowało doroczne spotkanie byłych mieszkańców tego legendarnego akademika 18 - 20 września 2009 roku. Pierwsi uczestnicy przybyli w piątek, jednak oficjalne rozpoczęcie spotkania zainaugurowała msza św. w Bazylice na Skałce w samo południe w sobotę, homilię pt. "Stańmy przed obliczem Boga!" wygłosił Jan Mazur OSPPE

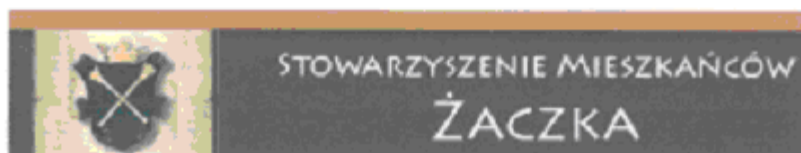
Następnie bawiono się przy grillu, na koncercie Aloszy Awdiejewa. po którym trwały rozmowy i tańce do rana.

Kraków, 21 września 2009

Podziękowania.

W imieniu Zarządu Stowarzyszenia Mieszkańców Żaczka oraz swoim własnym serdecznie dziękuję wszystkim uczestnikom dorocznego spotkania byłych mieszkańców Domu Studenckiego Żaczek za przybycie na tegoroczny zjazd oraz hojność we wpłatach na fundusz stypendialny oraz wsparcie dla potrzebującego Kolegi.

Szczególnie gorące podziękowanie składam JM Rektorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. dr hab. Karolowi Musiołowi za czynny udział w spotkaniu, Ojcu Prof. dr hab. Janowi Mazurowi za odprawienie Mszy świętej oraz pouczającą homilię jak również Koledze Janowi Kałuzińskiemu za koncert w czasie Mszy Św.



Jan Maurer Prezes



Foto własne

Śpiewam na chórze bazyliki na Skałce

Otóż Rektor UJ profesor Karol Musioł, urodzony w Bytomiu, jest moim rówieśnikiem i studiował w tym samym czasie co ja, ale fizykę. Jan Mazur najpierw ukończył matematykę, potem poszedł do Seminarium Duchownego Paulinów na Skałce i został zakonnikiem, a potem przeorem. Od wielu lat kształci młodzież na KUL-u i w Papieskim Uniwersytecie im. Jana Pawła II w Krakowie, będąc profesorem tych uczelni. Jest też – z natury rzeczy – kapelanem naszego Stowarzyszenia. Wreszcie Alosza Awdiejew od lat popularny w Polsce pieśniarz też studiował na UJ, a obecnie jest profesorem w katedrze Rusycystyki. Wszyscy mieszkaliśmy w Żaczku.

Na koniec wszystkich serdecznie pozdrawiam i entuzjastycznie dołączam do tych absolwentów i sympatyków, którzy mówią... Do zobaczenia! Do zobaczenia za 5 lat na Jubileuszu 75-lecia naszego Liceum!

Spieszmy się... spotykać. Niech tak będzie...

Jan Kałużyński

Ku Pamięci!



Foto Ksawery Sajewicz z 1960 roku

Od lewej: Bronisława Baltaza, Alfred Pałucha, Zofia Gawęda, Ksawery Sajewicz z żoną Zofią



Foto Ksawery Sajewicz z 1960 roku

Moi Profesorowie; od lewej: Jarosław Kidawa, Ksawery Sajewicz



Foto Ksawery Sajewicz z 1960 roku

Moi nauczyciele przed szkołą
Od lewej: Dyrektor Jerzy Malinowski, Janina Surowiec, Helena Szychowicz.
Od prawej: Bronisława Baltaza.